Rok III. Katowice, Niedziela, 14-go Sierpnia 1904 r. Nr. 32

Rodzina chrześciańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Górnoślązaka“ i „Straży nad Odrą“.

Na Niedzielę XI. po Ziel. Świątkach.

Ewangelia u św. Łukasza

w Rozdziale X.

Onego czasu: Rzekł Jezus Uczniom swoim: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wielu proroków i królów żądali widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli. A oto niektóry biegły w zakonie powstał, kusząc go, a mówiąc: Nauczycielu, co czyniąc, dostąpię żywota wiecznego? A on rzekł do niego: W zakonie co napisano? Jako czytasz? On odpowiedziawszy rzekł: Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkich sił twoich, i ze wszystkiej myśli twojej: a bliźniego twego, jako siebie samego. I rzekł mu: Dobrześ odpowiedział: to czyń, a będziesz żył. A on chcąc się sam usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest mój bliźni? A odpowiadając Jezus, rzekł: Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycho, i wpadł między zbójce, którzy go też złupili i rany zadawszy, odeszli, na pół umarłego zostawiwszy. I przydało się, że niektóry kapłan, zstępował tąż drogą, a ujrzawszy go, minął. Także i Lewita, będąc podle miejsca, widząc go, minął. A Samarytanin niektóry, który idąc, przeszedł wedle niego, i ujrzawszy go, miłosierdziem wzruszony jest. A przybliżywszy się, zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina: a włożywszy go na bydlę swoje, prowadził go do gospody i miał pieczę o nim. A nazajutrz wyjąwszy dwa grosze, dał gospodarzowi i rzekł: Miej staranie o nim, a cokolwiek nadto wydasz, ja, gdy się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co był wpadł między zbójce? A on rzekł: Który uczynił miłosierdzie nad nim. I rzekł mu Jezus: Idźże, i ty czyń podobnie.

Ewangelia
na uroczystość Wniebowzięcia NMP.

(U św. Łukasza w rozdziale XIX.)

W on czas wszedł Jezus do niejakiegoś miasteczka a niewiasta niektora imieniem Marta, przyjęła Go do domu swego. A ta miała siostrę, imieniem Marya: która też siedząc u nóg Pańskich słuchała słowa Jego. Ale Marta troskała się około rozmaitej posługi: która stanęła i rzekła: Panie, nie dbasz ty, iż siostra moja opuściła mię, abym sama posługiwała? rzeczże jej tedy, aby mi pomogła. A odpowiadając, rzekł jej Pan: Marto, Marto troszczysz się i frasujesz około wiela, a jednak jednego potrzeba. Marya najlepszą cząstkę obrała, która od niej odjęta nie będzie.



Święty Wawrzyniec.

Arcydyakon i męczennik.

Święty Wawrzyniec już wcześnie odznaczał się cnotami. Dla tego zamianował go papież Sykstus głównym dyakonem, oddał mu pieczę o dobra kościelne i o ubogich w Rzymie. Cesarz Waleryan prześladował wtedy chrześcian i skazał papieżaSykstusa na śmierć. Dnia 6 sierpnia roku 258 prowadzono go na miejsce stracenia. Odezwał się do niego Wawrzyniec: »Gdzie i dla czego idziesz ojcze mój bez syna twego? Nigdy nie sprawowałeś ofiary Mszy św. bez mojej usługi!« Papież odpowiedział: »Ja cię nie opuszczam, nie płacz, po trzech dniach pójdziesz za mną.«

Starosta rzyski rozkazał Wawrzyńcowi, wydać mu wszystkie dobra kościelne. Wawrzyniec prosił o kilka dni poczekania i rozdał wszystkie skarby pomiędzy ubogich. Starosta przyszedł, mniemając, że otrzyma wielkie bogactwa. Lecz Wawrzyniec stawił przed nim mnóstwo ubogich, nędznych, wdów i sierót, mówiąc: »Oto są skarby nasze!« Rozgniewany starosta rozkazał Wawrzyńca położyć na rozpaloną kratę i upiec go. Gdy już był upieczony na jednej stronie, wołał męczennik: »Przewróćcie mnie na drugą stronę!« Skonał w płomieniach dnia 10 sierpnia roku 258.

Z kraju tysiąca jezior.

(Z podróży i przechadzek po Finlandyi.)

Skreślił Stanisław Bełza.)

(Ciąg dalszy.)

Myślę dalej.

A jednak, jeśli to nie ulega zaprzeczeniu, jeśli rzeczywiście nigdy człowiek nie utrzyma się na falach kaskady, co przez godzinę 67 milionów stóp kubicznych wody przelewa z góry na dół, to za pewnik uważać można, że nie pozostawi tej olbrzymiej siły w spokoju, że ją zaprzęgnie do cywilizacyjnej pracy. Połączywszy sztucznie Sajmę z zatoką Fińską, przewierciwszy skalistą powłokę, odcinającą jezioro od morza, poprowadziwszy szyny żelazne na najwyższy północny punkt na kuli ziemskiej, wytworzywszy jednem słowem warunki kulturalnego życia w kraju, przeznaczonym od przyrody na wieczną śmierć, zabierze się on do Imatry, da uczuć wodom jej, potęgę rozumu swego.

Jak dotąd, czas na to jeszcze nie nadszedł, narzędzia do takiej walki nie są jeszcze pod ręką, brak środków materyalnych paraliżuje wysiłki woli.

Ale maluczko, maluczko, a nadejdzie ten czas, a spełni się wielkie przedsięwzięcie. I Imatra, która dziś oczom daje obraz nieokiełzanego żywiołu, urągającego zuchwale człowiekowi, jutro być może, stanie się narzędziem w jego ręku, służalczą siłą do osiągania rozumnych jego celów.

W Finlandyi, gdzie na każdym nieledwie kroku spotykasz ślady zwycięztwa myśli i woli, nad brutalną przyrodą, horoskopu takiego zuchwałym i fantazyjnym, nikt chyba nazwać się nie poważy.

. . . .

Majestatyczna groza Imatry i poezya tej grozy, nie od wczoraj ludziom natchnienia służyła tu za temat do poematów dźwięków i barw.

Opiewali ją poeci, uwieczniali na płótnie malarze, a reprodukcye obrazów Lindholma zapoznały z nią tych nawet, którym podróż na daleką północ zdawała się niepodobieństwem.

Co w tem dziwnego, że i baśń ludowa, jak bluszcz dokoła ruin, rozsnuła tu nić swą pajęczą, świat dzikiej rzeczywistości zaludniwszy istotami nie z tego świata?

Jak duch nieszczęśliwego kochanka Maryi, co snując się nocną porą około fatalnego mostu w Mickiewiczowskiej Rucie, dotkliwe psoty wyrządzał podróżnym, mszcząc się na nich za to że nie usłyszał z ust ich słów, których nadaremnie wyczekiwał od ubóstwianej, tak duchy potopionych w Imatrze, co noc wychodzić mają z wód głębin, i strachem błądzących nad jej brzegami przejmując, w okropny wir wciągać na śmierć niechybną.

To też rzadki tylko podróżny naraża się na to niebezpieczeństwo, rzadki tylko, tajemniczy świat duchów, wyzywać się ośmiela, kto jednak jest do tyla odważnym, i późną nocą w tych stronach się znajdzie, ten przyznać musi, że za zuchwalstwo swoje, po królewsku zostaje wynagrodzonym.

Nie widzi duchów, chyba duszy oczyma, nie słyszy ich pociągających w głąb dźwięków, chyba wyobraźni uchem, — ale ma za to przed sobą obraz wspaniałości nieopisanej, wielkość natury ukazuje mu się w kształtach niezwykłych, ale za to tajemniczą jakąś siłą wstrząśnięty zostaje do głębi.

Spokojna noc, łagodzi mu wprawdzie dnia blaski, mdły księżyc słabiej wprawdzie oświeca mu widnokrąg, ale cisza i tajemniczość przyrody, potęgują piekło grozy, podnoszą ją do bajecznych rozmiarów.

I zdaje się, że to nie jezioro wlewa się do jeziora szyją kamienistą i wązką, by płynąć dalej słodko i cicho wśród murawy u kwieconej, ale, że zagniewane na świat niebo postanowiło jego zagładę, i straszny wyrok wykonywa pod osłoną nocnych cieni.

Zdaje się i coś więcej jeszcze... Że za chwilę świat ten runie zatopiony w wszechzniszczenia oceanie; że po nocy kary nie wzejdzie mu już dzień przebaczenia, że bezlitośny żywioł pochłonie wkrótce wszystko, raz na zawsze zamknie księgę ludzkich szałów i uśmiechów, ale zarazem bólów ich i łez.

I przez wzgląd na ten ból i te łzy, żal się tych ludzi robi, i pragnie się odwrócić od nich karzącą rękę, wierząc w ich skruchę i poprawę, i patrzy się błagalnie na niebo, w niezawodzącem nigdy miłosierdziu jego, widząc kotwicę nadziei.

W takim stanie ducha, miejsce nocy zajmuje dzień.

Nadchodzi on nagle, bez przygotowania, bez walki światła z mrokiem.

Z poza pagórków na wschodzie, wychyla się tarcza słońca i ozłaca dokoła wszystko. A ozłacając, przynosi z sobą tę równowagę, jaką groza nocy zwichnęła. Oddycha się zatem już swobodniej, czuje się, że siła wyższa kataklizm odwróciła, że chwila jeszcze, a wszystko, co żyło, rozbudzi się z ciężkiego snu, że na twardej ziemi i powietrznych okręgach horyzontu, rozlegnie się dziękczynna pieśń.

Schodzi się z tego mostu wiszącego nad złowrogą przepaścią, i wtoruje się tej pieśni w duchu, ale już za wszystko, co się tej nocy samemu przeżyło i prześniło...

A więc...

Za wchłonięte do wnętrza drogami zmysłów obrazy królewskiego majestatu...

Za elektryczne wstrząśnienie duszą, ukazujące jej moc Boga i znikomość ludzkich rzeczy...

Za ostanie się tego, co żyje, wśród rozkiełznanego żywiołu niosącego wszystkiemu zniszczenie i śmierć...

* * *

O trzy kwadranse drogi kołowej od Imatry, znajduje się wodospad Walinkoski.

Jest to tak nazwana mała Imatra.

Mała, gdyż bez porównania od dużej krótsza, już tem różni się od niej, że odznacza się szerokością znaczniejszą. Dodaje to jej wspaniałości, ale i ujmuje zarazem, jeśli bo widok szerszej spienionej płaszczyzny z natury rzeczy wspanialszym być musi, to natomiast groza wody przelewającej się z góry na dół dłuższą poprzednią linią, o wiele słabsze niechybnie wrażenie sprawia.

Tak też jest, i dlatego Walinkowski przed Imatrą zachwyca każdego i porywa, po niej nie, i dlatego wodospad ten winien być wstępem dla zwiedzającego te strony turysty, nie epilogiem.

Imatra, wielka, majestatyczna Imatra, Wuoksy wody schwytawszy w obręcz skał swoich, niby bajeczny Tytan roztrzaskuje o ich krawędzie, gdy więc popłynąwszy dalej, przy Walinkoskim napotykają one nowe zapory, już jakby obezwładnione, kamiennym ich środkiem torują sobie drogi. Burzą się i tu prawda i pienią, tłukąc o granit, wydają huk wielki, ale huk ten i piana tą już igraszkami dzieci, w porównaniu z tem, co się słyszy i widzi kilka wiorst wyżej. Są to okruchy z wielkiego bankietu, jaki tam przyroda wydaje zdumionemu czło-

wiekowi, i jak okruchy, zadowolić go nie są w stanie. Przed duszy jego okiem i uchem, stoi w majestacie swoim nawet w ten miejscu Imatra, ciągnąc ku sobie z magnesu siłą. Wspomnienie przygłusza rzeczywistość, choć przecież ta rzeczywistość w Walinkoski, tłumi wszystko, co wydaje z piersi głos.

Za kilkanaście penni, fińscy chłopcy darzą tu turystę obrazem zaiste niezwykłym.

Próżną zaszpontowaną beczkę rzucają w wir, każąc patrzeć na jej skoki po wodzie.

Wyprawia też tu ona szalone harce, raz się chowa, to znowu ukazuje na białej pianie, wreszcie, jak piłka przerzucana z kamienia na kamień, przebywa wodospad, by poturbowana mocno, zostać schwyconą przez czyhających na nią rybaków.

Przez pośrednictwo mojego furmana, który rozumiał po angielsku, zapytałem chłopców, czyby nie zgodzili się puścić beczki w wir Imatry.

— Chybaby nam pan zwrócił całkowitą wartość beczki, — brzmiała odpowiedź, rzucona tam bowiem, potrzaskałaby się niechybnie na kawałki

A gdym, po tej odpowiedzi, wsiadłszy w karyolę, roztworzył opis Imatry przez Topeliusa, wyczytałem w nim te słowa:

— Siła Walinkoski z siłą Imary w porównanie nawet iść nie może. Razu pewnego kilku śmiałków umyśliło przebyć Wuoksę przed kataraktą. Już byli na środku rzeki, gdy w tem porwał ich wir straszliwy i uniósł z sobą w dół. Znaleziono strzępy ich odzieży, zmiażdżone kawałki ich łódki, — oni sami jednak zmieceni zostali z powierzchni ziemi...

. . . .

Kiedy po dokładnem zwiedzieniu obu wodospadów, w hotelu położonym nad brzegami Imatry zajęty byłem przygotowaniami do powrotnej podróży, — w wielkiej jadalnej sali na dole usłyszałem głośny krzyk.

Zeszedłszy ze schodów ujrzałem kilka młodych angielek, które wpadłszy przez roztwarte jeszcze drzwi do pokoju, ciągnęły za ręce jakiegoś poważnego mężczyznę, nie mającego wcale ochoty przecież do wyjścia.

— Tęcza na ziemi, tęcza na ziemi, — dolatywało ciągle do moich uszów.

Spojrzałem w stronę okna i zrozumiałem o co chodzi.

Dzień był gorący i jasny, — słońce oprowadzało czystą swą tarczę po firmamencie. Promienie jego, padając na wodę, rozkładały się niezawodnie przez krople pary unoszącej się nad Imatrą i tworzyły tęczę na ziemi, podobną do tej, jaka po deszczu tak często daje się widzieć na niebie. Widziałem to zjawisko niejednokrotnie, w Tivoli pod Rzymem i Riukanfoss w Norwegii, młode Angielki przecież miały je pewno pierwszy raz przed oczyma, i stąd ich zachwyt i zdumienie.

Za wszystkiemi — wyszedłem nad brzeg Imatry, i nie pożałowałem tego. U stóp naszych nad samym wodospadem, leżał olbrzymich rozmiarów łuk, i jaskrawością kolorów swoich ciągnął ku sobie wzrok wszystkich. Dzięki temu, że wodospad jest długi, i że wzburzona piana kotłuje się na wielkiej przestrzeni, i łuk na ziemi był tu dłuższym i to o wiele od tych, jakie miałem był niegdyś przed sobą w innych miejscach. Będąc dłuższym, był on jednocześnie i barwistszym, mieni się i błyszczał jak szkła łw kalejdoskopie, i przenosił z miejsca na miejsca na miejsce, wędrując po powierzchni wodnej, niby zaczarowana jakaś olbrzymia łódź.

Było to widowisko wspaniałe, a dla tych, którzy je obserwowali pierwszy raz w życiu, i niezwykle przejmujące.

Ten biblijny znak przymierza między Bogiem a ludźmi, z nieba sprowadzany na ziemię, ta gra bajecznie pięknych kolorów rozpościerających się na tle oparów wodnych i czarno zielonych dzikich skał, przy tem huku ogłuszającym, obezwładniającym wolę i myśl człowieka, — wszystko to poruszało nas do głębi, wszystko w świat inny, lepszy, czystszy i sprawiedliwszy przenosiło.

To też w milczeniu patrzyliśmy na tę tęczę na ziemi, to też spoglądając na nią doznawaliśmy uczuć jednakich, a kiedy chmury zwaliwszy się na tarczę słońca, do swego źródła powróciły świetlane jego promienie, co nas darzyły tam na tej północy, tak wspaniałem widowiskiem, w milczeniu zeszliśmy z naszych stanowisk, przyznając w duchu, żeśmy byli świadkami czegoś zaiste nawet tu, niecodziennego. Niecodziennego, — tak jest, dwa razy później bowiem jeszcze stałem w dzień jasny nad brzegami Imatry, nademną przecież wisiało zawsze ołowiane i ponure sklepienie.

Mdłemu światłu zachmurzonego, smutnego nieba, nie do zabawy było ze spienionemi wodami ziemi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kobieta na kazaniu w kościele w Nasiechowicach pod Miechowem.

Z dawnych lat.

Było to w roku 1812.

Na sandomierskie łany noc zapadła. Szła noc jesienna z deszczem, wichurą, wściekłym szumem i jękiem gnących się drzew, tęskna, ulewą deszczu rozpłakana. Czarne hufce skłębionych chmur, gnały niebieskim gościńcem w bezkresną dal, niby nieprzejrzane chorągwie czarnych rycerzy zaklętych, pędzących w przestrzeń na oślep, byle prędzej i dalej. Na ziemi zaś wicher wył.

Wył z furyą niepojętą na rozłogach i polach, przewalał się na rżyskach z warkoczami deszczu, dziwnym zgiełkiem napełniał bór czarny, wiejskie sady i zagrody.

Wieś spała już. Białe chaty stały ciemne i ciche wśród tej orgii jesiennych podmuchów, jasne, tylko okna dworu dowodziły, że tam jeszcze ludzie spać się nie pokładli.

i kochanek; szły ich śladami przez posępne pola północy; tam zaś oni ginęli nędzni, opuszczeni, marni, tęsknica pozostałych męki ich zwiększała, wichry jeno ostatnie westchnienia i jęki z ust im brały i niosły ku swoim. Może dlatego z takim uporem dobijały się do okien, może dlatego, taką ponurą melodyę jęku w gałęziach drzew grały. Może...

W izbie cicho było, starzec głowę miał nisko schyloną, zdawałoby się, że drzemie, dziewczyna w ogień patrzała w milczeniu.

Nie mówili nic do siebie, jak gdyby niechcąc daremnemi słowy poruszać tego, co się im do serca wżarło; więc jedno przed drugiem niepokój tęskny i serdeczną boleść kryło nieszczerze, a chociaż czasem wstrzymać ciężko było i łza perłą na oku osiadła, to i tak milczeli, rozumiejąc się wzajem, bo ból wspólny mieli oboje.

Jemu poszedł na bój po śmierć, syn jedyny, jej ojciec; starzec dziatkiem był dziewczyny.

Nagle tę ciszę zadumy przerwel ruch jakiś niezwykły na dworskim dziedzińcu, tentent paru koni.



Orkiestra włościańska grywająca w kościele w Nasiechowicach pod Miechowem.

Dwór stał na wzgórzu; taki dawny, modrzewiowy staruszek, z gankiem na przodzie, gołębnikiem u szczytu, silnie wiekiem pochylony, tulił się do topól, bezpieczny wśród nich przed deszczem i szarugą.

Płomień palących się na kominie bierwion, wesołe i rażne rzucał blaski na pokój i na siedzących przy nim dwoje ludzi. Mężczyzna, starzec wiekiem silnie podeszły, siedział w fotelu, u stóp zaś jego kobieta, dziewczyna, dziecko prawie.

Miło było w tej białej izbie i zacisznie, lecz myśli tych dwo ga szły poza te białe ściany, gdzieś dalekimi szlakami, biegły hen, w dal mroczną północy, gdzie poszedł ten, co miał wreszcie świat cały sobie do stóp rzucić, za jego zaś orłami, pół miliona ludzi, dla których był bożyszczem sławy, potęgi i jaśniejszej nadziei.

A dziś w tę jesienną noc szukały ich tęskne i rozpaczne czasem myśli, matek, ojców, żon, sióstr

Następnie głos nakazujący pismo z cesarskiej kwatery oddać dziedzicowi.

Złowrogie, jakieś nieokreślone przeczucie ogarnęło dwoje tych biednych.

W chwil parę potem, jezdnych już nie było przed gankiem, izbie zaś starzec klęcząc, obejmował postać zemdlonego dziewczęcia i cucił łzami serdecznemi; sieroty już oni oboje, sami na tym świecie.

Płomień na kominku przygasł, nie było już w tej izbie tak jasno, jak przedtem.

Na dworze zaś wicher ciągle wył, dobijał się i wstrząsał dziwnie oknami, może niósł właśnie ostatnie pożegnanie konającego. — Może...

Eleuterya.

Mijają czasy, kiedy za bohaterstwo uważano »mocną głowę«, a alkohol uchodził w społeczeństwie za środek »pożywny« i wzmacniający.

W państwach zachodnich i u narodów skandynawskich, zwłaszcza kiedy badania naukowe wykazały całą szkodliwość alkoholu — wszczęto z nim silną, niepohamowaną walkę społeczną. Od wielu lat w Europie szerzą się związki abstynentów, a w Szwajcaryi już 12-ty rok wychodzi specyalne pismo »Die Freiheit«, organ urzędowy centralnej »Ligi antialkoholicznej«.

Przykład zagranicy wywarł swój wpływ i na społeczeństwie naszem. Zwłaszcza w Galicyi, gdzie istnieje niezwykła łatwość zawiązywania wszelkiego rodzaju stowarzyszeń społecznych, przystąpiono do organizowania związków abstynentów. Do walki z alkoholem Galicya tem ponętniejsze przedstawiała pole, że wykazy unaoczniały przeraźliwe skutki pijaństwa. Kmieć zaprzyjaźnił się o okowitą, jak może w żadnej innej dzielnicy polskiej. Nie lepiej jednak działo się i wśród ludności miejskiej. Dość powiedzieć, że podług opinii dr. Zofii Golińskiej w Krakowie zdarzało się, iż robotnicy trzecią część, nie kiedy połowę dochodów wydawali na trunki. »Nie chcę powiedzieć bynajmniej — dodaje p. Golińska — aby tak czynili wszyscy, ale u rzemieślnika krakowskiego kieliszek wódki przy pierwszem i drugiem śniadaniu, przy obiedzie i kolacyi, obok tego jedna, dwie szklanki piwa, to wcale nie rzadkość«.

Rozpaczliwego niemal w niektórych miejscowościach stanu pijaństwa nie mogły ukrócić przepisy policyi austryackiei. Dla walki ze złem w Galicyi potrzeba było nie paragrafów ustawodawczych, ale czynnej akcyi społecznej.

W roku 1902 Wincenty Lutosławski, kniaź Genroyć i prof. Benedykt Dybowski wstępują do szeregów zaciętej armii idei antialkoholicznej. Jeżdżą po całym kraju, wygłaszają odczyty, agitują na wszystkie strony, tak słowem, jak piórem, i oto Podkarpacie rok już trzeci cieszy się istnieniem niezwykle szybko rozwijającego się Towarzystwa zupełnej wstrzemięźliwości od alkoholów, pod nazwę »Eleuterya«.

Nieraz chciałoby się postawić apostołom nowego ruchu zarzut zbytniego fanatyzmu, zbytniej, aż do przesady stosowanej abstynencyi, ale z drugiej strony istotnie trudno ustanowić granicę między umiarkowaniem, a nadmiernem używaniem napojów alkoholowych, bo dla każdego organizmu jest ona różną, a dla pijącego często niedostrzegalną. Bądź co bądź, jakkolwiek się zapatrywać na zasady abstynencyi, »Eleuteryi« nie można odmówić szerokich intencyi obywatelskich i podporządkowywania się szlachetnym zasadom etycznym.

Zobowiązanych słowem honoru na dotrzymanie przysięgi nieużywania alkoholów, »Eleuterya« liczy w Galicyi kilka tysięcy osób, a energicznem rozszerzaniem wiadomości o szkodliwych skutkach trunków, dzielnie przyczynia się do odpowiedniego »nastroju« w opinii publicznej społeczeństwa. Wpływ ten udziela się szeroko i można śmiało powiedzieć, iż niema jednostki oświeconej, na którąby pośrednio opinia ta nie oddziaływała silniej lub słabiej.

W tych dniach właśnie zwołany przez główny zarząd lwowski towarzystwo »Eleuterya« odbyło kongres kół zaprzyjaźnionych w Galicyi; liczba ich dosięga dziś już 16-tu związków.

Jedno z najliczniejszych — koło krakowskie, zyskało 415 członków. Urządziło ono 60 odczytów, 10 wieczorków i 10 zabaw. W tyle nie pozwala się też zostawić prowincya — i tak np. kółko w Bieczu liczy 142 członków!

Lwowskie koło — podług sprawozdania wiceprezesa ks. Gedroycia — kładzie główny nacisk na uświadomianie szerokich warstw społeczeństwa za pomocą wykładów publicznych, artykułów fachowych i popularnych, jak i przez rozszerzanie przystępnych broszur.

W rozmaitych miejscowościach Galicyi staraniem lwowskiego koła wygłoszono 45 wykładów. Nadto towarzystwo starało się wpływ swój wywrzeć na inne stowarzyszenia i oddziaływać odpowiednio na wszelkie objawy życia społecznego. Brano też udział w zeszłorocznym wiecu inteligencyi, przeprowadzając uchwały o obowiązkowych wykładach w szkołach o wstrzemięźliwości, Wnosiło do władz i stowarzyszeń memoryały; zakładało herbaciarnie i gospody bezalkoholiczne; dało inicyatywę do założenia nowego towarzystwa o celach społecznych, a opartego na zasadach abstynencyi. Nie udało się natomiast dotąd założyć sanatoryum dla alkoholików.

Na szczególną uwagę zasługuje to, że idea abstynencyi znalazła duże poparcie sfer młodzieży akademickiej, a staraniem niezrażonego przeszkodami antialkoholizmu prof. dr. Dybowskiego, przed dwoma laty założono przy »Czytelni Akademickiej« lwowskiej koło wstrzemięźliwości, imienia Maryi Konopnickiej.

Nad podziw sprężysta ruchliwość zarządu »Eleuteryi« niewątpliwie będzie nieść nadal swój siew; a że siew to w każdym razie pożyteczny i obywatelski — nie ulega zaprzeczeniu.

Wychowanie dzieci.

(Dokończenie).

Jednej ważnej rzeczy matka nigdy zapomnieć nie powinna, a tą jest, że dziecko prócz ciała ma też duszę, którą odpowiednio kształcić jest obowiązkiem. Rozbudzanie duszy i umysłu dziecka objawia się przez to, że gdy ono mówić już umie, to zaczyna się zastanawiać nad otaczającym światem i wypytuje rodziców i starszych, co to lub owo znaczy, do czego służy i z czego się robi? Takie pytania powinny rodziców bardzo cieszyć, bo znaczą one, że w dziecku rozum się rozwija. Wtedy nie wolno zrażać dziecka do zadawania pytań; nie wolno odpędzać go lub gniewać się nań: »daj mi pokój«, »idź sobie«, »nie zawracaj głowy«, jak często rodzice mówić zwykli. Przeciwnie, trzeba koniecznie cierpliwie tłomaczyć się i starać się tak objaśnić, aby dziecko mogło dokładnie zrozumieć, o co chodzi. Jeżeli nie potrafimy dziecku czego wytłomaczyć, bo sami tego nie rozumiemy, trzeba się do tego otwarcie przyznać i postarać się dowiedzieć o te rzeczy z książek lub od dobrych ludzi, a potem dopiero dziecku wytłomaczyć. Takie postępowanie wskaże dzieciom drogę

do prawdomówności i zachęci je do pracy umysłowej, do szukania wiedzy w nauce.

Przez takie tłomaczenie kształci się umysł dziecka, przygotowywa do myślenia i zastanowiania otrzymanych w głowie wrażeń i objaśnień. Od rzeczy widocznych, namacalnych przechodzi się powoli do rzeczy, które sobie wyobrazić trzeba, tj. takich, jakich się nigdy nie widziało.

Bardzo pożyteczną zabawą dla dziecka jest ołówek i papier lub, co taniej kosztuje, tabliczka i szyfer, aby sobie rysować mogło, przez co wprawia się ręka i oko. Nad taką zabawą trzeba czuwać, tj. dawać od czasu wskazówki, jak i co ma dziecko rysować. W 6, a najdalej 7 roku życia należy dziecko nauczyć czytać i pisać. Przyczem głównie starać się trzeba o to, aby dziecko koniecznie rozumiało każdy wyraz, który przeczyta, umiało go napisać, a potem przeczytane kawałki opowiedzieć swojemi słowami. Wtedy dopiero dziecko będzie miało prawdziwą korzyść z czytania, bo będzie mogło samo uczyć się z książek.

Wychodząc z tejże zasady, co wyżej, iż człowiek ma duszę nieśmiertelną, musimy się starać rozbudzić i wykształcić ją w dzieciach. Małe dziecko ma tylko potrzeby cielesne, bo duszyczka jeszcze w niem drzemie nieocknięta.

Matki zadaniem jest czuwać nad objawami budzącej się duszy. Wszelkie u dzieci wybuchy żalu, gniewu, uporu, pieszczot są potrzebami duszy. Dobre skłonności należy pielęgnować, złe hamować wypada. A więc maleństwo uczyć trzeba, aby dzieliło się chlebem, czy jakim przysmakiem z matką i rodzeństwem; niech uszczypnie choć odrobinę i da drugiemu, aby przywykało do wstrzemięźliwości, miłosierdzia i współuczucia, nie jak głupie matki mówią: »nie daj«, »schowaj«, ucząc dzieci skąpstwa.

Jeżeli dziecko się stłucze lub upadnie, nie trzeba nigdy bić podłogi lub ławki, aby nie wytwarzać w niem gniewu i nierozumnej zemsty. Przeciwnie, dziecko należy pogłaskać, pocałować, utulić, a przywyknie do łagodności i cierpliwego znoszenia bólu. Broń Boże, nie kazać bić psa, kota, brata lub, co się nieraz zdarza, matki albo ojca, chociażby w żartach, bo dziecko potem zapomina się i traci szacunek. Jeżeli starsze nawet dziecko uprze się nierozumnie, nie trzeba gwałtem przełamywać tego uporu, bo to źle oddziaływa. Przeciwnie ustąpić mu nieznacznie; niech lepiej to, co zrobi przez upór, na zło mu wyjdzie, a własną szkodę lepiej popamięta, niż bicie. Wogóle wszelkiego bicia należy bardzo unikać, choćby dlatego, że i dorosły człowiek w uniesieniu zapomnieć się może i skarać za surowo. Małe dziecko, gdy się uprze, można zabawić i zająć czem innem tak, że zapomni, czego chciało. Starszemu dużo wytłomaczyć można.

Nie trzeba rozbudzać w dzieciach łakomstwa, przepychając jedzeniem, ani zazdrości, wskazując, że rówieśnicy mają piękne ubrania, ani przekupstwa, obiecując za robotę lub naukę pieniądze.

Każdą kradzież, każde przywłaszczenie sobie cudzej własności surowo skarcić, a niech Bóg broni posyłać na cudze pole lub paśnik.

Nie wyśmiewać się nigdy ze starych lub niedołężnych. Zawsze dawać dobry przykład zachowaniem przykazań Boskich i ludzkich.

Od maleńkiego uczyć prosić o wszystko i dziękować rodzicom, a potem przenieść te prośby i dziękczynienia w modlitwie do Boga. Kazać żegnać się po wstaniu i przed spaniem i nauczyć króciutkiej modlitewki, a potem dopiero pacierza.

Trzy, czteroletnie dzieci można brać z sobą do *kościoła, o ile ten jest blisko, i w odpowiednią pogodę, tj. nie w czasie mrozu lub upału.* Nie chodzić z dziećmi w wielki tłok, bo nietylko, że w razie jakiegoś wypadku groziłoby to zaduszeniem, ale wogóle dziecku niezdrowo oddychać powietrzem, zagęszczonem oddechem tylu ludzi. Najlepiej pójść z dzieckiem do kościoła w dzień powszedni, gdy ludzi niewiele; można mu wtedy pokazać ołtarze i księdza odprawiającego nabożeństwo. Nie trzeba jednak nigdy zabierać dzieci na nabożeństwo żałobne, gdy nieboszczyk stoi w kościele, lub gdy obecne są osoby, które go dozorowały w chorobie, często zaraźliwej. Biorąc z sobą dzieci do kościoła, trzeba im tłomaczyć, że idzie się pomodlić: podziękować Bogu za zdrowie, poprosić o chleb dla siebie i innych; objaśnić, że wybierając się do domu Bożego, należy się umyć, uczesać ochędożnie, przyodziać, ale nie koniecznie w nową sukienkę, którą rówieśnice mają podziwiać.

Z czasem, gdy dziecko zaczyna więcej pojmować, trzeba mu opowiadać, co znaczą słowa pacierza, aby ich bezmyślnie nie powtarzało. Idąc i wracając z kościoła — tłomaczyć nabożeństwo, sakramenta, obrządki, jakie się odbywały, znaczenie świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy i innych. Dziesięcioletnie dziecko można już uczyć katechizmu i przygotować do spowiedzi i Komunii św.

Aby poprowadzić wychowanie dzieci jak należy, trzeba się tego uczyć, a skądże ma prosta wiejska kobieta nabrać wiadomości ku temu potrzebnych. Wskazówek niezbędnych do dobrego wychowania dzieci nabyć można z książek odpowiednich, które pilnie i z uwagą czytać należy, a przy sposobności radzić się w tym względzie rozumnych i wykształconych matek i nauczycielek.

Rozmaitości.

Przygoda z lwem. Jeden z dozorców rządowego rewiru myśliwskiego w Transwalu miał niezwykłą przygodę z lwem. Wyprzedziwszy o parę mil swoich towarzyszy, jechał konno stępa, śladem wąskiej ścieżki śródleśnej. Słońce zeszło od godziny. Na raz pies, którego miał z sobą, zaczął szczekać. W tej samej chwili wypadł z zarośla lew, rzucił się na jeźdźca i zwalił go z konia. Równocześnie zjawił się inny lew z drugiej strony ścieżki. Obie bestye, jakby się porozumiały: pierwszy puścił się za koniem, a drugi chwycił nieszczęśliwego dozorcę za prawą łopatnę i powlókł go za sobą, mrucząc jak kot, gdy złapie mysz, a boi się, żeby mu jej nie odebrano. Wrażenia dozorcy w tej chwili były straszne, cierpiał bowiem fizycznie i moralnie: lew trzymał go w zębach -- nie było nadziei ratunku. Jednak po upływie kilku chwil, kiedy pierwszy strach przeminął, przypomniał sobie dozórca, że ma na prawym boku długi myśliwski nóż. Nie było czasu do stracenia. Wyjął go więc w jednem oka mgnieniu lewą ręką, którą miał wolną, i pchnął lwa z całej siły dwa razy w bok i raz w gardziel. Lew puścił ofiarę i odskoczył o parę kroków, rycząc przeraźliwie i brocząc obficie posoką. Uwolniony z bolesnego uścisku, powstał dozorca z ziemi, a wiedząc, że dzikie zwierzęta boją się głosu ludzkiego, wyrzucił na lwa cały potok obelżywych wyrazów, tonem ile tylko mógł najgłośniejszym. Zwierzę na-

myślało się czas jakiś, potem odeszło zwolna, mrucząc i rycząc. Ryk stawał się coraz słabszy, w końcu ustał — lew pewnie nie żył. Jednak ostrożność przedewszystkiem. Dozórca osłabiony utratą krwi, wdrapał się z trudem na drzewo. Przezorność nie była zbyteczną i bardzo na czasie, gdyż zaledwie usadowił się na gałęzi, nadbiega drugi lew, lecz się nie zatrzymuje i wkrótce ginie w gęstwinie, tropiony przez psa... Bojąc się, żeby nie zemdleć, dozórca przywiązał się do drzewa i tak przesiedział do rana, póki nie nadeszli towarzysze i nie uwolnili go z niemiłego położenia. Opodal znaleziono już ostygłe ciało lwa. Nóż ugodził w serce dwukrotnie.

Miły małżonek. Cesarz Anamu (państwa sąsiadującego z Chinami od strony południowo-zachodniej) posiada już 150 żon i nie jest wcale od tego, żeby sobie kupić jeszcze kilka. Przy wyborze kobiety na żonę władca Anamu zwraca, naturalnie, przedewszystkiem uwagę na piękność, ale także i na to, żeby dobrze umiała... pływać. Albowiem skoro cesarz poluje na ptactwo błotne, żony jego zbierać muszą ubitą zwierzynę. Zdarza się przytem często, że kobieczęta przy niższej temperaturze nabawiają się zapalenia płuc — nie sprawia to jednak ich cesarskiemu małżonkowi żadnego kłopotu, jak również nie martwi się on wcale, jeśli zamiast np. w kaczkę, cały nabój śrutu wpakuje w którą z żon swoich...

Najdroższa suknia. Jedna z paryskich firm krawieckich wystawiła na wystawie w St. Louis suknię żony Napoleona cesarzowej Józefiny, uważaną za najdroższą suknię kobiecą. Suknia ta kosztowała 150,000 fr. Józefina miała ją na sobie raz tylko: podczas koronacyi. Sporządzona z najcięższego jedwabiu, waży 75 funtów razem z trenem, który jest długi 15 stóp. Na całej sukni, staniku i trenie, obramowanych gronostajami, usiane są kamienie różnobarwne, oraz haftowane ręcznie złote pszczoły.

Kawalerya na wołach. Generalny gubernator zachodniego pobrzeża Madagaskaru, J. G. Gallieni, otworzył oddział przybocznej policyi jezdnej, której wierzchowcami są... woły. Do kierowania służy sznur, przeciągnięty przez nozdrza zwierzęcia. Wierzchowce te nie są ani powolne, ani bojaźliwe, i nadają się do swej służby wybornie. Ale na policyantów trzeba wybierać ludzi niegłupich, żeby kto nie powiedział, iż siedzi wół na wole.

Dzielna kobieta. Pierwszą kobietą, która odbyła podróż dookoła świata, była Francuzka, Joanna Bazet, gospodyni botanika Commenona (1766—1809). Podróż odbyła w męskim stroju. Commenon w pamiętnikach swoich sławi jej wytrwałość i odwagę.

Zdziczały człowiek. W Jeromenha, małem miasteczku prowincyi Sao Paulo w Brazylii, schwytano niedawno zupełnie zdziczałego człowieka. Będąc jeszcze maleńkiem dziecięciem, został porzucony i pozostawiony w lesie. Podobny jest do zwierzęcia i jedynie swą postawą przypomina istotę ludzką; wzrok jego dziki, włosy tworzą wielką grzywę, broda gęsta i zwichrzona, paznokcie zmieniły się w pazury, nogi tworzą niezgrabne łapy; nie wydaje ludzkich dźwięków, lecz wyje jak zwierzę. Nazywa się to indywidyum Francisco Henrique de Sonzo; już od dłuższego czasu znany był w okolicy pod nazwą »Obłąkanego Franka« (Chico doido); unikał stale ludzi, zabijał woły i konie, pił ich krew i jadł surowe mięso. Gdy go ujęto, zbliżyło się doń niebacznie kilkoro dzieci; natychmiast usiłował je schwytać, uszły wszakże jego pazurów. Ciekawem jest, czy uda się to zwierzę w ludzkiej postaci oswoić i wychować jeszcze kiedyś na człowieka.

Maszyna do latania w powietrzu. Niezadługo wszyscy będziemy mogli latać w powietrzu jak ptaki... Słynny wynalazca statku podwodnego Holland zbudował w Jersey City maszynę do latania nadzwyczaj praktyczną, lekką i prostą. Są to cztery skrzydła z płótna na prętach bambusowych i nic więcej. Przyrząd waży niecałe 25 funtów i może być zbudowany kosztem dolarów dziesięciu. Można w nim fruwać swobodnie, poruszając skrzydła za pomocą rąk i nóg. Wysiłek jest nie większy niż przy chodzeniu, tylko unosząc się w powietrze i opuszczając na ziemię trzeba użyć nieco więcej siły. Piędziesiąt mil można przebyć w godzinę i wcale się nie zmęczyć. Tak przynajmniej twierdzi wynalazca. Dopóki nie uzyska patentu i nie przestanie trzymać szczegółów swego wynalazku w tajemnicy, możemy mu wierzyć na słowo... i obyśmy się tylko nie rozczarowali później.

Olbrzymie drzewo. H. W. Hart, handlarz drzewem, odkrył w powiecie Tulare w Californii olbrzymie drzewo, które wysokością i objętością przewyższa wszystkie inne dotąd znane drzewa w świecie. Olbrzym ten jest 400 stóp wysoki i ma 109 stóp obwodu a 36 stóp w przecięciu. Znawcy obliczają, że liczy 4,000 lat życia. Rząd ma się postarać, aby ten nabytek wieków nie padł pod ciosem siekiery.

W Hamond, Indya, fakir indyjski Maraka pogrążył w śnie hypnotycznym niejakiego Harry'ego Zerkil i kazał go zakopać w ziemi w Wolf Lake Parku. Pogrzebu żywego człowieka dopełnił przedsiębiorca pogrzebowy Johnson. Po sześćdziesięciu godzinach, wobec tłumnie zgromadzonej publiczności trumnę Zerkilla odkopano. Spał jeszcze. Fakir Maraka zbudził go, ale z wielką trudnością. Zbudzony, przez kilka minut nie mógł poznać swego otoczenia, lecz w końcu przyszedł do siebie.

Obłok magnetyczny. Kapitan parowca »Mohican«, który w tych dniach przybył do Nowego Jorku, opowiada, że gdy parowiec znajdował się na wysokości ujścia rzeki Delavare, zawisł nad nim obłok tak silnie naładowany elektrycznością, iż w jednej chwili okręt stał się widownią dziwnych zjawisk magnetycznych. Igła magnesowa w kompasie zaczęła chwiać się mocno, to w jedną, to w drugą stronę, łańcuchy i sztaby żelazne, złożone na stalowym pokładzie okrętu, namagnesowały się tak silnie, że nie można było oderwać ich od pokładu, a dokoła okrętu, którego ładunek stanowiło przeważnie żelazo, strzelały długie iskry elektryczne. Co się tyczy załogi, wszyscy uczuli dziwną ociężałość rąk i nóg, włosy zaś na głowach i twarzach stanęły sztorcem. Nagle obłok uniósł się i wszystkie zjawiska znikły.

Dochody jenerała Kuropatkina. Dzienniki angielskie podają cyfry, które świadczą, że car Mikołaj okazał wielką szczodrobliwość dla jenerała Kuropatkina. Mianując go głównym dowódzcą armii w Azyi Wschodniej pozostawił jego rodzinie płacę 36000 rubli rocznie, którą pobierał przedtem jako minister wojny. Jako naczelny dowódzca wojenny pobiera Kuropatkin 200000 rubli rocznie. Oprócz tego przed samym odjazdem do Mandżuryi otrzymał od cara w padarunku 500000 rubli, ponieważ nie posiada żadnego majątku i w razie śmierci na wojnie pozostawiłby rodzinę niezaopatrzoną.

Konno przez lodowce. Trzech turystów, dwóch mężczyzn i kobieta, przeprawili się konno przez największy lodowiec alpejski z Aletschu do Niederalpu. Z gospody na Bel-Alp śledzono z zajęciem przez lunety niezmiernie uciążliwą i niebezpieczną podróż

śmiałej trójki, po olbrzymim, nierównym, obfitującym w szczeliny i pokrytym kamieniami lodowcu.

Wdzięczna milionerka. Kilka miesięcy temu na jednej z ulic Nowego Jorku rozbiegły się konie, zaprzężone do powozu, w którym siedziała żona znanego bogacza amerykańskiego, Pierpont Morgana, z synkiem. Nieszczęścia uniknięto tylko dzięki odwadze młodzieńca, który z narażeniem życia, podbiegł do koni, chwycił za lejce i, uwiesiwszy się u nich, zatrzymał powóz. Wdzięczna matka chciała ofiarować zbawcy znaczną sumę pieniędzy, nieznajomy jednak odmówił przyjęcia nagrody. Pani Morgan podała mu zatem kartę wizytowa i prosiła, aby w razie jakiejkolwiek potrzeby zwrócił się do niej. Jak się okazało, odważnym młodzieńcem był akrobata cyrkowy, Ludwik Gardner, rodem z Milwauke występujący wówczas w Nowym Jorku. Niedługo po przypadku akrobata wyjechał do Londynu i tam zaangażował się do jednego z cyrków. Przed kilku tygodniami, gdy robił ćwiczenia na maszcie, luźno wiszącym, maszt pękł i Gardner spadł na arenę, łamiąc sobie kość pacierzową. Wiadomość o tym wypadku podały dzienniki nowojorskie, i z nich dowiedziała się o nim pani Morgan. Natychmiast więc wsiadła na parowiec odchodzący do Anglii, i przybywszy do Londynu, zajęła się Gardnerem. Wezwała do niego najlepszych lekarzy, otoczyła najtroskliwszą opieką, sprowadziła matkę jego z Milwauke, a gdy okazało się w końcu, że Gardner będzie całe życie kaleką, postanowiła przewieść go do Ameryki i nabyć dla niego w Milwauke, domek, w którym nieszczęśliwy kaleka i jego matka będą mogli spędzić resztę życia bez troski.

Śmiertelność w Europie. Pośród normalnych warunków umiera w Europie na rok 10—11 milionów ludzi, mniej więcej 27 na 1000.

Największą liczbę zgonów wykazuje Rosya, gdyż 35 na 1000; potem idą Węgry 30, Austrya 27, Włochy i Hiszpania 26, Niemcy 25, Francya 22, Szwajcnrya 21, Anglia 20, Szwecya i Norwegia tylko 17 na 1000.

W Skandynawii śmiertelność pośród niemowląt w pierwszym roku życia jest także najmniejszą, wynosi bowiem 103 na 1000, w Anglii zaś 164. Potem przychodzi Francya 161, Hiszpania i Portugalia 180, Włochy 185, Szwajcarya 190, Niemcy 230, Austrya i Węgry około 240, wreszcie Rosya 300 na 1000.

Liczba starców 70 letnich największa jest we Francyi, w stosunku do ludności wynosi 44 na 1000, potem idzie Norwegia 40, Szwecya 33, Włochy 31, Szwajcarya 30, Anglia 27, Niemcy 20, Hiszpania 24, Austrya 23, Węgry 18.

Przeciętny wiek ludzki w krajach Europy wykazuje małą różnicę. wynosi mianowicie 30 do 34 lat.

Wesoły kącik.

Właściciel menażeryi przyjechał z jej częścią do miasta i wezwał żonę, żeby mu przywiozła resztę. Po skompletowaniu menażeryi, ukazały się afisze na rogach ulic:

»Wskutek przyjazdu mojej żony, liczba dzikich zwierząt w menażeryi znacznie się powiększyła.

W szkole.

— Jeżeli ojcu twemu pożyczyłbym 500 marek z warunkiem spłacania po 75 rocznie, ile by mi po trzech latach jeszcze się należało?

— 500 marek.

— Źle.

— Ale panie profesorze, przecież mego ojca znam.

Pięknem za nadobne.

— Dziwię się, moja żono, że możesz na głowie nosić włosy innej kobiety!

— Iii... ty nosisz na nogach skórę innego cielaka i ja się wcale temu nie dziwię!

Wypróbowany środek.

— O Boże, Boże, jakże wyruguję z serca tę nieszczęsną miłość?

— Ożeń się z twoją ukochaną.

Z teatru wojny.

Stackelberg do Kuropatkina: Co mam robić, aby mnie Japończycy nie odcięli?

Kuropatkin do Stackelberga: Powiesić się.

Aleksiejew miał się wyrazić po bitwie pod Wafanku:

— Dotąd Japończycy zniszczyli nam marynarkę, ale gdy tak dalej będą bili, to zniszczą i... spodnie.

Łamigłówka sylabowa.

Ła—pa—ił—wrze—e—li—fu—u—czar—zbro—ro in—ża—sień—pa—ka—fa—nusz—nia—ka—ar—cyn jow—pu.

Z powyższych sylab ułożyć dziewięć wyrazów, których pierwsze litery utworzą nazwę starożytnej polskiej kopalni.

Znaczenie wyrazów.

1. Nazwa miesiąca.
2. Miasto w gub. radomskiej.
3. Część świata.
4. Drzewo.
5. Ubiór liturgiczny.
6. Roślina.
7. Skład broni.
8. Zakonnik.
9. Instrument muzyczny.

Za dobre rozwiązanie przeznaczona jest nagroda.

Rozwiązania szarad z nr. 30 i 31 zamieścimy dopiero w przyszłym numerze.

Nakładem i czcionkami »Górnoślązaka«, spółki wydawniczej z ograniczoną odpowiedzialnością w Katowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Antoni Wolski w Katowicach.